

MACIEJ OLEJNIK

AKADEMIK



———— Maciej Olejnik ————

AKADEMIK

dla•czemu

————

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadzący: Monika Czarnecka

Redakcja: Sylwia Gudyka Writes

Korekta językowa: napisane.online

Skład i łamanie: Anna Nachowska | PracowniaKsiazki.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Warszawa 2025

Wydanie I

ISBN papier: 978-83-67852-55-5

ISBN e-book: 978-83-67852-56-2

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

✉ kontakt@dlaczemu.pl

PROLOG

Wrocław, dawno

Szymon oparł się plecami o pień drzewa i ciężko dyszał. Wbił miecz w ziemię, a następnie złożył niesione pod pachą brzemień na kępę trawy pod brzozą i dłonią w rękawicy otarł pot z twarzy. Nie uda mi się, pomyślał, za daleko. Księżyc już zachodzi a do murów miasta jeszcze daleko. Co robić, na Boga? Potrząsnął głową i splunął krwią na ciemny mech. Bolało, ale to nic. Nieważne. Ważny jest tylko ten... ten... ciężar, owinięty w płaszcz, drogi płaszcz z weneckiego sukna, podarty, zabłocony i zakrwawiony. On musiał być zaniesiony do katedry, do biskupa.

Szymon zamknął oczy i znów zobaczył poważną twarz biskupa, zazwyczaj pogodną, teraz ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi w wąską kreskę ustami. Usłyszał znów cichy, pełen napięcia głos: „To jest najważniejsze zadanie w twoim życiu, Szymonie i w życiu twoich ludzi. Przyniesiecie mi to albo nasze dusze będą zgubione na wieczność.” W prywatnej komnacie biskupa było ich wtedy siedmiu: gospodarz, jego osobisty sekretarz i poufnik Zygfryd von Betz, mnich, który sprowadził ich do pałacu biskupiego, i który teraz siedział w kącie nad wielką, oprawioną w skórę księgą oraz oni, nierozłączna czwórka. Jan i Michał, podobni do siebie jak dwie krople wody bracia o słomiano jasnych włosach i wąsach, barczyści, wysocy, zawsze gotowi do śmiechu, zabawy i bijatyki, o łapskach niczym piekarskie szufle, głęboko wierzący w Jezusa, Maryję i ostry miecz.

Pauli zwany „Wiewiórką” z racji wściekle rudej i wiecznie rozczochranej czupryny. Niewysoki, o łagodnych oczach i drobnych dłoniach silnych jak kowalskie imadła. No i on sam, Szymon, dorównujący niemal bliźniakom wzrostem, ale czarnowłosy i chudy jak szczapa nauczyciel fechtunku. To jemu właśnie jako najstarszemu powierzona została rola dowódcy tej niebezpiecznej misji. „To jest ważniejsze niż wasze życie”. Szymon pamiętał, jak przy tych słowach zadrzały dłonie biskupa, zaciśnięte kurczowo na oprawionej w skórę księdze. „To jest ważniejsze niż czyjekolwiek życie, bo tu idzie o nasze nieśmiertelne dusze.” To było dwa dni temu, ale wydawało się odległe jak dzień Narodzenia Pańskiego.

Szymon westchnął ciężko i ponownie splunął.

Teraz tamci już nie żyli. Pauli Wiewiórka i Jan zginęli wśród tych przeklętych dębów na polanie, Michał zaś pchnięty oszczepem w brzuch biegł razem z Szymonem, nie bacząc, że z każdym krokiem wraz z krwią, przez palce przyciśniętej do rany dłoni wyciekało z niego życie. Biegł, póki nie padł twarzą na ziemię. *Nawet nie zamknąłem mu oczu ani nie złożyłem rąk*, przemknęło po raz setny przez głowę wojownika. Nie było na to czasu, tamci byli tuż – słychać było gniewne okrzyki ścigających a blask niesionych przez nich pochodni rzucał upiorne cienie.

Szymon nigdy nie unikał walki, ale tym razem gra toczyła się o dużo większą stawkę. Poza tym tamtych było zbyt wielu, wiedział, że sam ich nie powstrzyma. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to uciekać, jak najszybciej i jak najdalej i mieć nadzieję, że obiecana przez biskupa pomoc zdąży na czas.

Młasnęło błoto.

Obiecana przez biskupa pomoc nie zdąży na czas.

Wojownik otworzył oczy i zobaczył napastników, stojących w półokręgu kilka metrów od niego. Kilkanaście milczących, nieruchomych postaci w długich płaszczach z kapturami naciągniętymi na twarze. W bladym świetle księżycy wyglądali jak upiory. Musieli pogasić wcześniej pochodnie, by ich migotliwy blask nie zdradził ich obecności. Szymon uśmiechnął się ponuro. Przemknęło mu przez myśl, że podeszli go tak jak dzika w legowisku, kropka w kropkę jak on zrobił to ostatnio na łowach, na które wybrał się z Wiewiórką. Nie spuszczać wzroku z napastników sięgnął po miecz. Tarczę stracił na tej przeklętej polanie, teraz więc zacisnął obie dłonie na rękojeści. Znajomy ciężar broni dodał mu pewności siebie.

– Dłaczego chcesz z nami walczyć, Szymonie. – Cichy, chrapliwy głos sprawił, że krew rycerza zmieniała się w lodowatą wodę, a dłonie stały się nagle czymś obcym, mokrym od lepkiego potu i drżącym.

Mężczyzna w białym płaszczu przepasanym czarnym sznurem utkany, jak wieść niesie, z kobiecych włosów wyszedł zza pleców swych sług i powoli podszedł do rycerza. Zsunął z głowy kaptur. Długie, ciemne, proste włosy okalały szczupłą twarz o zapadniętych policzkach i wydatnym, lekko garbatym nosie. I te oczy – głęboko osadzone, żarzące się jak pełne piekielnej smoły bezdenne dziury. Szymon wiedział kim on jest. Ledwie godzinę temu widział jak na leśnej polanie, w kręgu ognisk płonących wokół wielkiego, płaskiego głazu, wrywał gołymi rękami serce z piersi przeraźliwie krzyczącej kobiety. To był ten, którego imienia nikt nie znał. Ten, o którym ze strachem w oczach mówiono najcichszym szeptem „Stary”, żegnając się przy tym znakiem krzyża świętego.

– Dlaczego chcesz z nami walczyć, Szymonie – zapytał ponownie mężczyzna. – Dlaczego się do nas nie przyłączysz? Zakłóciłeś, ty i twoi przyjaciele, nasze święte obrzędy, ale nie żywię do ciebie urazy. Zabiłeś moich braci, ale i o to nie mam do ciebie żalu. Wiem, że jesteś wojownikiem i wykonywałeś rozkazy. Podziwiam twoją zręczność w walce i szanuję twe męstwo. Jeżeli zwrócisz nam naszą własność i oddasz pokłon naszemu bogu staniesz się naszym bratem, za którego w razie potrzeby każdy z nas bez wahania odda swoje życie.

Szymon przeżegnał się szybko i mocniej ścisnął rękojeść miecza. Mężczyzna zaśmiał się cicho.

– Szymonie, twój słaby bóg ci nie pomoże. Ten, którego jestem najwyższym kapłanem był wśród nas od wieków, był tu na długo przed tym, jak twój Chrystus pojawił się na naszym świecie. Był dla nas bogiem i prawem. Pokazał nam jak żyć. Nauczył nas, jak być silnym, jak sprawić by nasi wrogowie drżeli ze strachu przed naszymi mieczami. A czego uczy ciebie twój Bóg? Nadstawić drugi policzek? Miłować swoich nieprzyjaciół?

Rycerz oderwał lewą dłoń od rękojeści miecza i sięgnął za pazuchę kurtki. Wyciągnął zawieszony na łańcuszku na szyi mały srebrny krzyżyk i zacisnął na nim palce. Chroń, mnie Panie!

Kapłan milczał przez chwilę.

– Wiele razy już oddawałem mojemu Panu serca chrześcijan i chrześcijańskich kapłanów, Szymonie, nie boję się twojego Chrystusa ani jego krzyża – powiedział. – Oddaj nam naszą własność albo jeszcze tej nocy położę cię na ołtarzu i oddam mojemu bogu.

Grube krople potu ściekały po twarzy rycerza. Nie bał się śmierci, ale myśl o zostaniu złożonym w ofierze napawała

go bezbrzeżnym przerażeniem. *Co robić? Jezu Chryste, co robić?* Rozejrzał się szybko. Przed sobą miał stojących szerokim półkolem przeciwników, za plecami zaś rachityczne, karłowate brzózki, rosnące nad brzegiem mulistego oczka wodnego, których tutaj, w starorzeczu Odry było mnóstwo.

Zadrżał i opuścił nieco miecz.

Nie uszło to uwadze kapłana.

– Właśnie tak, Szymonie, opuść broń i chodź z nami. Stań się jednym z nas a z radością zaprosimy cię do naszego stołu!

Szymon opuścił miecz jeszcze bardziej. *No nic, jak trzeba, to trzeba*, pomyślał i podjął decyzję.

Spokojnie, powoli obrócił miecz w dłoni i wbił go w ziemię.

– Tak! – kapłan uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce. – Teraz oddaj nam nasz święty kamień i chodź z nami. Opatrzymy twe rany, napoimy cię i nakarmimy!

Rycerz schylił się i podniósł zawinięty w płaszcz kamień, ciężki jak najczarniejszy grzech. Wyprostował się powoli trzymając swe brzemię oburącz, jak matka z opuszczoną głową tuląca niemowlę przy piersi. *No tak*, pomyślał. *Tak właśnie miało być i tak było mi pisane, niech Pan zlituje się nad moją grzeszną duszą!*

Podniósł głowę i z uśmiechem spojrział prosto w oczy kapłana.

A kapłan zrozumiał w jednej chwili.

Z głośnym „NIE!” wyciągnął przed siebie ręce i skoczył w kierunku Szymona chcąc go złapać, rzucić na kolana, przycisnąć do ziemi i zakrzywionymi jak szpony palcami rozerwać mu gardło, wyłupić oczy, zmiażdżyć, wdeptać w ziemię, unicestwić...

Nie zdążył.

Szymon zgiął nogi w kolanach i gwałtownie rzucił się tyłem wprost w czarną wodę mulistego bajora. Chluśnięcie zimnej, cuchnącej wody zalało mu usta tłumiąc radosny, tryumfalny śmiech...

Wrocław, 1977

Bomby, bomby wybuchały dookoła!

Szybko następujące po sobie eksplozje szarpały łóżkiem, na którym Paweł Będkowski leżał zwinięty w kłębek. Łup, łup, łup!!! Przeraźliwy huk wwiercał się w mózg, ogłuszał, rozrywał uszy, powodował, że głowa Pawła pękała z bólu.

– Zostawcie mnie! – chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyc żadnego głosu z zaciśniętego gardła. Zdecydował, że najbezpieczniej będzie pod łóżkiem. Nie mogąc wstać na nogi przeturlał się przez krawędź i runął na podłogę, przewracając z łomotem stojące obok krzesło.

I wreszcie się obudził.

Leżąc na boku na podłodze baraku przez chwilę gapił się na poniewierające się pod połowym łóżkiem zgniecioną paczkę po papierosach „Sport”, poczerniały ze starości ogryzek jabłka i coś, co mogło być tylko zwiniętą w kłębek starą skarpetą. Usiłował sobie przypomnieć gdzie jest i co właściwie, do ciężkiej cholery, tutaj robi.

Łup, łup!

Tym razem nie były to już eksplozje, ale zwykłe walenie pięścią w drzwi, które i tak było stanowczo za głośne dla obolałego mózgu Pawła. Tym bardziej że towarzyszyło mu równie głośne wołanie:

– Panie inżynierze! Panie inżynierze!

Paweł złapał prawą dłoń za bok polówki, z której przed chwilą zleciał i po krótkim wahaniu usiadł. Wnętrze baraku zakołysało się gwałtownie. Będkowski zacisnął oczy i na oślep macał wokół siebie po podłodze w nadziei, że nie miał przywidzeń i rzeczywiście widział gdzieś tutaj butelkę „Grodziskiej”. Usta miał suche jak popiół, język przypominał starą i całkiem zużytą szmatę do podłogi, a jeszcze do tego bolała go głowa. Bolała? Jezu, miał kaca wielkiego jak Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Kaca, który mógłby być praojcem wszystkich ziemskich kaców! *To przez sałatkę*, pomyślał nagle z absurdalną pewnością, na pewno przez to i nic innego. Iwona, jego bratowa, była znakomitą kucharką, ale tylko jeden Bóg raczył wiedzieć, w jak sędziwym wieku był majonez, który udało się jej kupić. Wódka była dobra. – Rysiek, brat Pawła nieźle się szarpnął na prawdziwą „Żytnią” z PEWEX-u, no ale jak w końcu często oblewa się przydział własnego M-3 ze spółdzielni?

Łup, łup!

– Panie inżynierze!

Paweł jęknął, rozpoznając w końcu głos wołającego. Kowalik, starszy brygadzysta, musiał mieć naprawdę ważny powód, żeby budzić go z leżącej ciała i duszę drzemki, zwłaszcza że to on sam zmusił go, żeby położył się na polówce w stróżówce ciecica i „wrócił do stanu używalności”, jak to sam określił.

Palce lewej dłoni Pawła natknęły się na coś zimnego i śliskiego, a rozpoznawszy w tym czymś rozpaczliwie poszukiwaną mineralną z radością się na niej zacisnęły. Długi, orzeźwiający łyk musującego idącymi do nosa bąbelkami nektaru był błogosławieństwem.

– Panie inżynierze! – Kowalik znowu łupnął pięścią w drzwi.

– Czego... – wychrypiał Paweł. Właściwie to chciał powiedzieć „Czego się pan tak tłucze, panie Kowalik?”, ale nie udało się. Ścierka od podłogi w jego ustach zahaczyła o coś – ząb? podniebienie? i skutecznie zablokowała resztę słów głęboko gardle.

Drzwi baraku w końcu otworzyły się, wpuszczając do środka promienie wiosennego słońca i dym ze „Sporta” tkwiącego jak zwykle w kącie ust brygadzisty.

– No wreszcie, panie inżynierze, pukam i pukam!

– Pukam? – Paweł osłonił oczy przed palącymi siatkówkę promieniami słońca. – Panie Kowalik, drzwi pan prawie z futryną wywalił. – Potrzebował dwóch oddechów, żeby wypowiedzieć te kilka słów. – Co do cho...

Nie dokończył. Najwyraźniej mineralna weszła w gwałtowny konflikt z resztą zawartości żołądka i Paweł nagłym zrywem ledwie zdążył wyskoczyć koło oszołomionego szybkością akcji Kowalika, by za rogiem stróżówki gwałtownym spazmem pozbyć się kłopotu.

– Jak rany, panie inżynierze! W takim galopie to żem jeszcze pana nie widział – brygadzista z zachwytem wpatrywał się w cierpiącego. – Normalnie Sobiesław Zasada to przy panu słońca w późnej ciąży, he he! No, lepiej już panu? Mam nadzieję, bo sprawa jest poważna.

Paweł splunął ostatni raz usiłując pozbyć się z ust obrzydliwego smaku i powoli się wyprostował. Królestwo za szczołeczkę do zębów i pastę Nivea! Zamiast tego wyciągnął rękę.

– Panie Kowalik, daj pan papierosa.

Brygadzista sięgnął do kieszeni, ale zamiast wymiętej paczki „Sportów” wyjął kanapkę zawiniętą w kawałek „Trybuny Ludu”.

– To będzie lepsze od szluga. Niech pan coś zje.

– Panie Kowalik, chciałem fajkę nie chleb. Zabić mnie pan chce, czy jak? – Na samą myśl o jedzeniu Pawłem szarpnęły suche torsje.

– Niech pan weźmie, jak nie teraz to na potem, a fajek to ja panu nie dam, bo z pana inżyniera to za przeproszeniem dupa nie palacz i zaraz znowu pan pawia puści.

Co racja to racja. Paweł palił raczej sporadycznie i ograniczał się do kupowanych okazjnie „Carmenów”. Usiadł ciężko na stojącej obok stróżówki skrzyni na piasek i oparł się plecami o ścianę baraku, wystawiając twarz do słońca.

– No dobra, panie Kowalik, o co ten cały raban?

Brygadzysta zrobił się nagle bardzo poważny. Sięgnął do kieszeni, pogmerał w niej chwilę i wyciągnął w kierunku Będkowskiego zaciśniętą pięść. Paweł odruchowo wyciągnął otwartą dłoń. Kowalik położył coś na dłoni inżyniera, zaciskając jednocześnie drugą dłonią jego palce. Będkowski spodziewając się jakiegoś żartu spojrzął w oczy brygadzisty sposobiąc się jednocześnie do wypowiedzenia jakiegoś żartobliwego komentarza. Ze zdumieniem ujrzał jednak, że na twarzy Kowalika maluje się pełna skupienia powaga.

– Pan obejrzy, panie inżynierze. Tylko dyskretnie.

Mocno zaintrygowany zachowaniem pogodnego zazwyczaj brygadzisty Paweł lekko rozchylił palce.

– O żeż w mordę!

Na dłoni Pawła leżała moneta. Wielkością przypominała zwykłą złotówkę, była jednak nierówna, ciężka i z pewnością bardzo stara.

I bez wątpienia złota.

– Jezu, panie Kowalik, skąd pan to ma? – wyszeptał, wpatrując się jak urzeczony w krążek żółtego metalu. Tknięty nagłym przecuciem poderwał nagle głowę.

– Tylko niech mi pan nie mówi...

– Ano, właśnie że tak – brygadzysta wpadł Pawłowi w słowo. – Właśnie tak, znalazłem to w wykopie.

– O kurwa! – Nieprzeklinający zazwyczaj Paweł nie znalazł tym razem lepszego słowa. – Jak? Gdzie? Opowiadaj pan! Tylko po kolei!

Kowalik usiadł na skrzyni obok Pawła. Wyjął z kącika ust niedopałek, obejrzał go krytycznie i przytknął nim do najbliższej kałuży, sięgając jednocześnie do kieszeni po nowego papierosa.

– Ano jak po kolei, no to tak. – Potarta o draskę zapałka z trzaskiem zajaśniała płomieniem osłoniętym sękatymi dłońmi brygadzisty. Kowalik zaciągnął się głęboko i w skupieniu wypuścił nosem dwie długie strugi dymu.

– Jak raz zadzwonili właśnie na przerwę – zaczął cicho opowieść. – Jak żem wracał z narzędziowni i widzę, że chłopaki wyłażą z wykopu na śniadanie. No i widzę też, że Jankowski, ten nowy operator koparki, zostawił maszynę z łyżką podniesioną do góry. Wkurzyło mnie to, bo po tym wypadku w Poznaniu, co to nam o nim ostatnio na szkoleniu BHP mówili, wie pan, tam, gdzie chłopu nogę zmiażdżyło, przepisy nakazują łyżkę opuszczać na postoju. No to idę i mówię do Jankowskiego, że łyżki nie opuścił, że jak go nadzór przyuważy to po premii dostanie i on, i ja. No, a ta łajza mi na to...

– Panie Kowalik, trzymaj się pan faktów – jęknął Paweł wiedząc z doświadczenia, że brygadziście nie można dać się rozgadać.

– No przecie mówię. I ta łajza do mnie mówi, że nie zlezie teraz do wykopu, bo mu przerwa przepadnie i nie będzie mógł zjeść a on układ zbiorowy zna i wie, że mu się przerwa należy jak psu miska. Jużem go miał porządnie opier...

znaczy, wytłumaczyć mu, że łamie przepisy, ale machłem tylko ręką. Srał go pies, myślę sobie, ale ja tam premii tracić nie mam zamiaru. No to żem zlazł do wykopu i idę do tej koparki wkurzony jak cholera. Chciałem do kabiny wleźć, ale z tej strony zamknięta była, no to żem se pomyślał, że może z drugiej strony, od ściany wykopu. No i właśnie, jak żem obchodził koparkę dookoła to coś mi błysło pod nogami. Schyliłem się i znalazłem to чудо. No i zaraz żem do pana z tym poleciał. I co z tym teraz zrobimy?

Paweł intensywnie myślał. Moneta, nawet złota, to w sumie nic szczególnego, często znajdowali różne starocie na budowach. Najczęściej były to pamiątki z ostatniej wojny: hełm, przeżarty przez rdzę karabin, czaszka z dziurą po kuli. Raz wykopali niewybuch bomby lotniczej i cała budowa miała niezaplanowany dzień wolny. Wezwani saperzy przez kilka godzin ostrożnie odkopywali znalezisko a potem sprawdzali jeszcze okolicę, czy gdzieś nie czai się jeszcze inna niespodzianka. Zdarzały się też znaleziska znacznie starsze. Pamiętał dobrze, jaką sensacją było przypadkowe odkrycie neolitycznego cmentarzyska podczas pogłębiania przydrożnego rowu gdzieś pod Krakowem.

– Panie Kowalik, kto jeszcze o tym wie?

– No co pan, panie inżynierze! – zachnął się brygadzysta.

– Przecie żem już panu powiedział, że od razu żem z tym do pana przyleciał. Wiem tylko ja i pan.

Paweł podrapał się w potylicę. Marzył o powrocie do baraku na polówkę i o spaniu aż do fajrantu, ale ciekawość w końcu wzięła górę.

– No dobrze, panie brygadzisto, pokaż pan gdzie było to чудо. Może jeszcze coś znajdziemy, w końcu jedną taką sierotką trudno się podzielić, no nie?